



TO
NIE
BYŁA
ZWYKŁA
MIŁOŚĆ

ANNA TUZIAK • SANDRA CZOIK • ANNA FOBIA
EWA GRALLA • JUSTYNA CHMIEL • KATARZYNA MUSZYŃSKA
NATALIA HERMANSA • PAULA UZAREK • ANETT LIEVRE
SZYMON JABŁOŃSKI • EWA MACIEJCZUK

A I L E S

OSTATNIE POŻEGNANIE © Szymon Jabłoński

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved

Wszystkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Redakcja: Natalia Hermansa

Korekta: Aleksandra Bochen

Projekt okładki: Justyna Knapik

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Adobe Stock

Skład: Marcin Halski

marcin.halski@interia.pl

ISBN E-BOOK: 978-83-68177-52-7

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2024

Wydawnictwo Ailes

E-mail: aileswydawnictwo@gmail.com

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

Wersja papierowa dostępna na:

www.wydawnictwoailes.pl



Ostatnie pożegnanie

Szymon Jabłoński

Żarzący się wolframowy drucik starej żarówki z trudem rozświetla z lekka podniszczone szaro-białe ściany malutkiego garażu. Jego ciepłe żółte światło, padając na różne narzędzia samochodowe porozrzucane w nieładzie na niewielkiej przestrzeni, sprawia, iż całe otoczenie zatopione jest w półmroku. W delikatnym i dość przytulnym półmroku, a to głównie za sprawą piecyka własnej roboty. Żeliwnego piecyka, który – rozgrzewany przez palące się w jego wnętrzu kawałki sosnowego drewna – oddaje przyjemne ciepło na całe pomieszczenie. Ciepło, które jest wręcz zbawienne. Bo gdy za stalowymi drzwiami mojego garażu świat ogarnęła grudniowa zamieć śnieżna potęgowana przez przeszywający mróz, w jego murach można pracować w spokoju i przy względnym komforcie. I jedynie przytłumiony świst lodowatego wiatru dobiegający co jakiś czas z zewnątrz może przypominać o mrocznej aurze, jaka tam panuje. Właśnie tam... Zaraz za masywnymi drzwiami mojego

malutkiego osiedlowego garażu... Betonowej konstrukcji, wewnątrz której właśnie stoję. Lekko pochylony, z jedną ręką opartą o bak mojego białego motocykla, a drugą trzymającą niewielkich rozmiarów czarno-czerwony śrubokręt.

Z lekką irytacją malującą się na twarzy spoglądam złowrogo na sufit. W miejsce, gdzie powinny świecić się trzy żarówki. Powinny... I jeszcze chwilę temu tak było. Lecz nagle, przed paroma sekundami, z delikatnym trzaskiem spaliły się dwie z nich. A jak na złość nie posiadam zapasowych.

– Ech... – Wzdycham ociężale i w przyływie frustracji mruczę pod nosem: – Musiały akurat teraz. Nie mogły znaleźć sobie innego momentu. Akurat teraz, kiedy mi się spieszy, żeby to skończyć.

Rzucam na podłogę śrubokręt. Zaraz za nim ochronne rękawiczki, które zdjąłem z rąk. Prawą dłońią sięgam po leżący na starym drewnianym krześle telefon, z którego głośnika płyną właśnie nieprzerwanie słowa piosenki Kukona i Julii Mikuły – *Wrześniowe pomarańcze*:

*Jak wrześniowe pomarańcze i zimowy w oczach piach,
tak zaistnieć mogły nasze dwa spojrzenia pośród fal.
Jak wrześniowe pomarańcze i zimowy w oczach piach,
tak zaistnieć mogły nasze dwa spojrzenia pośród fal.*

Szybkim ruchem palca odblokowuję ekran i świecąc sobie nim pod nogi, idę w aktualnie najciemniejszy kąt pomieszczenia, gdzie znajduje się regał z półkami. Zabieram z niego warsztatową ledową latarkę i wracam pod motocykl, starając się stawiać kroki ostrożnie, tak by nie nadepnąć i nie uszkodzić przy tym żadnej z rzeczy leżących przede mną na betonowej posadzce. Odkładam telefon ponownie na krzesło, a latarkę ustawiam na ziemi w taki sposób, by jej światło padało centralnie na lewy

bok yamaha. W miejsce, w którym powinna być dokręcona czarno-biała, plastikowa owiewka ze sporych rozmiarów napisem „R1”. Powinna być, a nie jest. Bo na razie bezwładnie zwisa, trzymając się tylko na paru małych, okrągłych zaczepach.

*Balkon i papierosy, w łóżku obce kochanki,
zaparowane szyby, pełne tej wody szklanki.
Się pogubiłem mocno, nostalgia mnie zżera,
chcę jeszcze jedną szansę, możesz przyjechać teraz?*

Nucąc cichutko kolejne wersy piosenki, pochylam się nad motocyklem i sięgam po leżący nieopodal śrubokręt. I już mam zacząć dokręcać pierwszą śrubkę owiewki, gdy nagle do moich uszu dociera dźwięk jakby delikatnego pukania w stalowe drzwi.

– Kto tam? – pytam twardym, niskim i mimowolnie lekko poddenerwowanym głosem. Przez niedobór czasu naprawdę nie na rękę są mi teraz odwiedziny. No i jeszcze te dwie spalone żarówki...

Mija parę sekund, podczas których nie dostaję żadnej odpowiedzi. Z początku myśląc, że być może coś mi się przesłyszało i cichy odgłos był jedynie zwykłym złudzeniem, nie zwracam na to zbyt dużej uwagi. Tym bardziej że w taką pogodę wichura szalejąca na zewnątrz potrafi płątać figle. Również te akustyczne. Jednak po chwili głuchy dźwięk znów się pojawia.

– Kurwa... – cedzę słodkie przekleństwo między zębami i ponownie zadaję pytanie: – Kto tam?! – wołam głośniejszym i z delikatną nutą agresji. Agresji, która jest swego rodzaju pierwszym elementem obronno-odstraszającym, na wypadek gdyby za drzwiami stał jakiś nieproszony gość. Bo do głowy mi nie przychodzi, kto by miał ochotę przychodzić tu do mnie w taką śnieżycę.

Wyteżam słuch i wpatruję się skonsternowanym wzrokiem gdzieś przed siebie. Znów mija parę chwil, gdy czekam na odpowiedź, jednak tym razem, spośród dźwięków melodii odbijających się nieznacznym echem od ścian niewielkiego pomieszczenia, wyłapuję również ledwo słyszalny, lecz doskonale mi znany delikatny kobiecy głos:

– Wpuść mnie, proszę... To ja.

Dość mocno zaskoczony podnoszę się i szybkim krokiem idę w stronę stalowej bramy, by otworzyć ją osobie, która jest ostatnią, jakiej bym się teraz spodziewał. Byliśmy dzisiaj umówieni. To fakt, ale dopiero za godzinę. Chyba że coś mi się pomyliło...

Chwytam za solidny zamek i przekręcam go z dość dużym trudem. Uchylam drzwi i od razu cofam się o krok, bo już na wstępie dostaję prosto w twarz podmuchem porywistego wiatru i zamarzniętymi płatkami krystalicznie białego śniegu, którego przez te dwie godziny, odkąd wróciłem z pracy i zająłem się wymianą oleju w motocyklu, zdążyło nasypać naprawdę pokaźne ilości. Lecz już chwilę później, spośród ostatnich resztek promieni schowanego za horyzontem słońca, wyłania się drobniutka, zgrabna postać. Tak... Właśnie ona.

Moja narzeczona patrzy na mnie swoimi pięknymi niebieskimi oczami, z których bije nieskalane dobro. I na tle tego całego horroru, jaki odbywa się na zewnątrz, ubrana w białą puchową kurtkę, z rozpuszczonymi oplatającymi jej ramiona długimi blond włosami, wygląda wręcz jak anioł, który jest namacalnym odzwierciedleniem całego szczęścia, jakie mi los w swej łasce postanowił ofiarować.

– Hej, skarbie, chodź do środka – mówię czule do Agnieszki i całuję ją delikatnie w usta na przywitanie. Jej wargi są chłodne, podobnie zresztą jak i malutki, zaokrąglony nos, którym odbija zimny ślad na moim policzku. – Zmarzłaś bardzo...

– Mogę wejść?

– No jasne! Chodź. Ogrzej się trochę przy piecyku. Niby już w nim dogaszam, ale jeszcze bije od niego fajne ciepło. – Obejmuję Agnieszkę ramieniem i przepuszczam w drzwiach. – W ogóle bardzo szybko przyjechałaś – dodaję, przed zamknięciem bramy wpatrując się jeszcze przez chwilę w mrozący krew w żyłach zimowy krajobraz. – A gdzie Magda?

Dziewczyna siada na skraju drewnianego krzesła i odwrócona do mnie tyłem zaczyna wpatrywać się w ostatnie płomienie, tańczące magicznie na zwęglonych resztkach szczapek drewna. Zsuwa z siebie górną część kurtki i z dziwną tajemniczością w głosie odpowiada:

- Musiała spotkać się ze swoją mamą.
- Rozumiem. A dołączy do nas później?
- Nie. Już nie.

Zaskoczony kolejnym niespodziewanym zwrotem akcji zamykam z hukiem drzwi i podchodzę do mojej narzeczonej. Staję obok i kładę dłoń na jej ramieniu. Na wpół naga skóra, okryta już teraz tylko beżowym koronkowym sweterkiem, jest tak bardzo jedwabista w dotyku...

- Coś się stało?
- Po prostu musi z nią porozmawiać – Agnieszka mówi spokojnym tonem, w którym z trudem wyłapuję delikatną nutkę troski.

Choć odnoszę nieodparte wrażenie, że nagła zmiana planów wspólnego wyjazdu na świąteczne zakupy spowodowana jest wyjątkowym zdarzeniem w prywatnym życiu naszej wspólnej koleżanki Magdy, to jednak nie zamierzam wypytywać dziewczyny o konkrety zaistniałej sytuacji. Nic na siłę. Znam Agę i wiem, że prędzej czy później i tak opowie mi więcej. Tak to już jest w naszej relacji, co ogromnie doceniam. Nic nigdy nie robimy wobec siebie na siłę. Dajemy sobie czas i przestrzeń. Lecz mimo to darzymy się bezgranicznym zaufaniem. I zawsze,

ale to zawsze możemy liczyć na wzajemne wsparcie. To jest po prostu piękne, ale i wręcz abstrakcyjne. Bo jak to jest możliwe, że wystarczy, bym tylko otulił swymi ramionami tak drobniutkie, bezbronne kobiece ciało, a mój cały stres przeżyć minionego dnia tak po prostu... znika jak ręką odjął. W jednej chwili. A w jego miejsce pojawia się tak bardzo upragnione poczucie... bezpieczeństwa.

– Rozumiem – mówię cichutko i sięgam po telefon, który wciąż leży na krześle obok dziewczyny. Naciskam przycisk blokady ekranu i już chcę wyłączyć muzykę, gdy Agnieszka łapie mnie za dłoń.

– Zostaw. Lubię tę piosenkę. Puść ją od początku.

– Dobrze, skarbie. – Włączam nutę jeszcze raz i wracam pod swoją yamahę. Klękam na zimnym betonie i, zabierając się ponownie za pracę, kontynuuję: – Ja już kończę powoli. Skoczymy jeszcze tylko do mojego kumpla. Oddam mu ten zestaw kluczy do filtrów oleju, który pożyczyłem. Później wpadniemy do mnie do domu, ogarnę się szybko i możemy jechać na zakupy. Miałem niby wymieniać olej dopiero na wiosnę, w sumie jak co roku, ale skoro znalazłem dzisiaj chwilę, to mówię...

– Szymon. Nie mamy zbyt wiele czasu – przerywa mi w połowie zdania moja narzeczona. Wciąż tym samym tonem, który brzmi bardzo ciepło, ale nad wyraz tajemniczo. A ja nie umiem wygonić z głowy zatroskanej ciekawości, ale naprawdę nie mam zamiaru o nic na siłę wypytywać. Dlatego też wesoło i z delikatną ironią w głosie mówię:

– No nie wiem. Umawialiśmy się i tak dopiero za godzinę. – Zerkam na cyfry elektronicznego zegarka zawieszonoego na ścianie i dodaję: – Wiesz, że nie lubię rozgrzebanej roboty. Spokojnie. Jest dopiero szesnasta trzynaście. Sklepów nam nie pozamykają, a ja obiecałem Kamilowi, że mu dzisiaj to zwrócę. Chciałem to ogarnąć do waszego przyjazdu, no ale plany się

trochę zmieniły. W ogóle skąd wiedziałaś, że jestem tutaj, a nie w mieszkaniu?

– Pisałeś mi rano, że po pracy chcesz coś porobić przy moto. No i zobaczyłam twój samochód przed garażem. A możemy dzisiaj sobie odpuścić te zakupy? – Dziewczyna zadając to pytanie, odwraca delikatnie głowę w moją stronę, a ja w tym czasie, dokręciwszy ostatnią śrubkę owiewki, rzucam śrubokręt na podłogę.

– Widzisz? Już skończyłem. – Patrząc jeszcze przez chwilę, czy wszystko jest na pewno na swoim miejscu, mówię dalej: – Oczywiście. Jasne, że tak. Możemy zakupy ogarnąć choćby jutro.

– A dzisiaj może pojedziemy gdzie indziej?

– Dobrze, ale teraz i tak skoczmy do mojego kumpla. Podać mu tylko ten zestaw przez bramę.

– Proszę, zróbmy to trochę później...

Patrząc przenikliwie w błękitne oczy dziewczyny, które wręcz w błagalnie zwróciła w moją stronę, nie potrafię jej odmówić. Jednak również nie daję po sobie poznać zmieszania, jakie wywołuje we mnie jej niespodziewany upór.

– No okej. A gdzie byś chciała teraz jechać?

– W nasze miejsce – odpowiada cicho Agnieszka, po czym wstaje z krzesła i rusza w moją stronę. A ja w tym samym czasie, ani na moment nie spuszczać z niej swojego wzroku, zakładam czarną kurtkę, którą zdjąłem na czas pracy w obawie przed jej zabrudzeniem. Niska blondynka obejmuje mnie w pasie, a głowę czule wtula w moją klatkę piersiową. Ostatnie nuty melodii wydobywające się z głośnika telefonu dobiegają końca. Na moment nastaje cisza, przerywana jedynie co silniejszymi podmuchami zimowego wiatru. Lecz już chwilę później Aga unosi twarz, a ja rzucam jej dwa pocałunki. Pierwszy w zimny nos, a drugi w słodkie usta.

– Dobrze, maleńka. Najpierw pojedziemy w nasze miejsce. A później do Kamila. – Oswobodziwszy się z jej objęć, odwracam się w stronę lekko zakurzonego lustra zawieszzonego na ścianie. W półmroku dostrzegam swoje niewyraźne odbicie. Poprawiam kołnierz kurtki we wręcz aktorski sposób i rzucając żartobliwie: – Kuźwa... Ty patrz, jaki przystojniak ci się trafił. No nikt nie ma do mnie podejścia. Nawet żarówki się na mój widok palą ze wstydu.

Garaż wypełnia się moim śmiechem. A Agnieszka? Agnieszka wciąż nieprzerwanie patrzy na mnie i się uśmiecha. Tak bardzo czule uśmiecha. Z delikatnie zaszklonymi, lecz szczęśliwymi oczami. Z tym że to szczęście wciąż miesza się z nutką troski i dziwnej nostalgii. A widok ten wywołuje w moim sercu kalejdoskop emocji. Prawie tak, jakby moja dusza pławiła się w morzu radości i rozkoszy, lecz zarazem w każdej chwili była gotowa oddać to wszystko na rzecz mojej kobiety. Byleby tylko mogła się pozbyć wszelkich trosk i rozterek, które zalegają w niej gdzieś głęboko. Byleby tylko mogła poczuć spokój, komfort i bezpieczeństwo. A by tak się stało, wystarczy jeden znak. Jeden ledwo zauważalny, bezgłośny sygnał z jej strony. Bo czasem, aby się wzajemnie zrozumieć, nie potrzeba żadnych słów...

Pięć minut później stoję już na zewnątrz przy uchylonych drzwiach garażu. Przez ten czas zdążyłem dogasić żarzące się w piecyku szczapki drewna. Pod sam koniec naszego pobytu i tak już nie dawały z siebie zbyt wiele przyjemnego ciepła, bo z minuty na minutę temperatura wewnątrz pomieszczenia spadała coraz bardziej. Ogarnąłem również trochę podłogę. Chociaż na tyle, by nie wałały się po niej narzędzia.

Wyciągam z kieszeni kluczyki samochodu, który ledwo wiadać spod grubej warstwy śniegu. Słońce już dawno schowało się za horyzontem, a świat pogrążył się w mroku. Pogoda niestety ani odrobinę się nie poprawiła. Wręcz przeciwnie. Gdy

z trudem patrzę przed siebie, a mroźne igiełki wpadają mi wprost do oczu, ledwo dostrzegam choćby pobliską latarnię oddaloną o niecałe trzydzieści metrów.

Wyciągam rękę w kierunku auta. Na pilocie dołączonym do kluczyków naciskam przycisk otwierania drzwi. Z delikatnym stuknięciem zamek zostaje odblokowany, a zielonkawa Mazda MX-5 mignięciem świateł awaryjnych zaprasza mnie do środka.

– Chodź, skarbie. Wsiądź sobie już do auta – mówię do stojącej za mną Agnieszki.

Obchodzę samochód dookoła, by otworzyć drzwi mojej – mam nadzieję – przyszelej żonie. Słyszę, jak świeży śnieg, w którym zatapiam się ponad kostki, skrzypi pod moimi butami. Jednak w połowie drogi przypominam sobie o telefonie, który został na drewnianym krześle.

– Kuźwa... Telefonu nie wziąłem – rzucam krótko i mijając Agę, szybko wracam do garażu.

Będąc już w środku, zabieram swoją zgubę i jeszcze raz zerkam na piecyk, czy aby na pewno wszystko zgasił. Odcinam dopływ prądu do ostatniej żarówki, jaka jeszcze jest w stanie świecić. Wychodząc, sięgam ręką do kieszeni po klucze, którymi następnie z metalicznym zgrzytem przekręcam zamek masywnych drzwi.

Szczerze nie wiem, czemu Aga akurat teraz wymyśliła sobie taką niespodziewaną wycieczkę. Mimo że cel naszej podróży nie jest specjalnie oddalony, to jednak w taką pogodę, kiedy nawet ciężko jest ustać człowiekowi na nogach, a co dopiero jechać wąską asfaltową drogą przez las... No ale skoro powiedziałem, że pojedziemy, to pojedziemy. Zwłaszcza że widzę, jak jej na tym zależy. Właśnie. Bardzo jej na tym zależy... Pytanie tylko dlaczego?

Przedzierając się przez zasy obok samochodu, kątem oka dostrzegam ślady swoich butów. Teraz już, po krótkiej chwili